

ani na coraz gorsze trzęsienie i podskakiwanie bryki na praskich wybojach, ani na przenikliwy deszcz i zimno. Minęli długi most na Wiśle stępą, w nieukończonych procesjach innych wozów.

Na rogatce warszawskiej zatrzymali ich urzędnicy cłowi dla rewizji. Błażeja oburzyło to do żywego, i miał nadzieję, że jego pan odpowiednio zgromi takie zachowanie. Ale pan Kleszewski spokojnie przyjął natarczywe pytania strażników komory, uśmiechając się z ich służbistej gorliwości. Przybycie do Warszawy napędliało mu piersi jakby tchem jego dalekiej młodości, z czasów sejmów czteroletniego i ostatnich lat królestwa. Rzeźwiej patrzył, rzeźwiej myślał. A jednocześnie serce mu wzbraniało roztkliwieniem starości, pełnem pobbazania dla kochanego miasta.

Skoro strażnicy uznali swe obowiązki za spełnione, Błażej, groźnie pomrukując, ruszył znowu na przód pod górę.

Wjechali na Zjazd, napchany wszelkiego rodzaju furgonami, wozami, brykami, pojazdami, splecionymi i mijającymi się wśród wymyślnych woźniców. Na prawo stał wyniosły Zamek królewski. Na lewo roilo się nieprawdopodobne mnóstwo ludzi i wozów z powodu targu pod Bernardynami.

Błażej zrecznie, stanowczo i zuchwale parł się pod górę, niezmieszany gwarem, ruchem i wymyślnymi.

Pan Kleszewski, błyszcząc w le dwie znacznym uśmiechu okiem, patrzył po znanych sobie niegdyś kamienicach, wysokich, ściśniętych, o wązkich frontach i sklepach na dole.

Tymczasem skręcili w lewo na Krakowskie Przedmieście i ruszyli zrazu szybciej, z powodu mniejszego ścisku.

Obłożona bryka i zmokłe, okryte ciemnymi plamami potu i błota konie, krzyżowały się ustawicznie z elegancko błyszczącymi dorózkami, niedawno wprowadzonymi do stolicy. Błażej, oniesmielony hukaniem dorózkarzy i ich jazdą na złamanie karku, wstrzymał po chwili konie i jechał ostrożnie stępą. Pan Kleszewski wskazał mu drogę: zamyślał stanąć w kamienicy znanej sobie na Nowym Świecie, gdzie była dobra stajnia i szopa na bryczkę.

Dojechali, i pokoje okazały się wolne, choć z powodu blizkiego przyjazdu króla saskiego na sejm, gospodarz wyraził przekonanie, że zapewne wynajmąby je jutro, jeśli nie za godzinę, i powińszował panu Kleszewskiemu jego niezwyklej szansy.

Stary pan zawarł już swe wzruszenie, jak ostryga muszlę, i przyjmował życie ze zwykłą sobie ironiczną pogodą. Pospieszył umyć się i przebrać, i z pomocą Grzesia rozlokować się w dwu kwadratowych, niewielkich stancjach, na antresolu, o niskim suficie, z których jedna służyła za sypialnię, druga za salonik.

Następnie, wzięwszy stary, ale odświętny, nie noszony prawie nigdy płaszcz, ruszył na miasto.

Natychmiast obkoczyła go natarczywa gromada faktorów w brudnych chałatach. Zapowiedziawszy im, że są mu niepotrzebni, nie zwracał na nich już uwagi, i szedł dalej. Miał bowiem odrzucić do krzyżowania na ludzi. To go doprowadzało do trzymania administratora przy gospodarstwie, i sprawiał, że wszystko go kosztowało drożej, niż innych. Całe życie pobbazał tej drażliwości swego charakteru, aż te czasy nędzy i upadku zmusiły go do odprawienia administratora i do dotknięcia się samemu rzeczy, które go napędliały niechęcią. Robił to jednak i teraz, ze starego przyzwyczajenia, jak przez rękawiczki.

Szedł więc, gubiąc po drodze zawiedzionych faktorów. Jeden jednakże dotrzymywał mu wiernie kroku. Był to stary żyd o siwej brodzie, w równie brudnym, starym i zaszarganym u dołu chałacie, jak inni.

— Pocóż za mną idziesz, kiedym ci powiedział, żeś mi niepotrzebny? — zapytał go wreszcie, odwracając się pan Kleszewski, którego przykro drażniła bezowocna i milcząca natarczywość faktora.

— Ja już jestem stary, — odpowiedział żyd, przyspieszając kroku, — ja nie mam tej siły kłócić się z drugimi żydkami o panów. Ja sobie z waszmością panem pójdę, może będzie co potrzeba? Ny, nie będzie, to nic. Ja sobie poczekam.

— Nic nie zarobisz.

— Człowiek sam nie wi, co mu się może trafić. Może co będzie trzeba? Ja sobie wolę pójść z mądrym panem, choć i nic nie zarobię czasem, niżli biegać dla głupiego, co na końcu skrzywdzi i nie zapłaci.

— No, to idź, ale ja ci nic nie obiecuję.

— Ja wiem.

Pan Kleszewski kierował się ku Staremu Miastu. Mieszkał tam bowiem daleki jego krewniak, Dyonizy Zakowicz, literat, poeta i bywalec jakich mało, znający na wylot stosunki stolicy.

Pan Kleszewski zastał go spożywającego śniadanie. Porwał się na widok gościa z ogromnego fotela, tak jak był, w żółtej szlafmicy z fontaziem i w szlafroku szafirowej barwy.

— Panie Józefie dobrodzieju, cóż to za siurpryz! Skąd się waćpan bierzesz? Cóż na wsi? Jakże zdrowie dobrodziki? Na długość waćpan przyjechał? Siadajże, siadaj i mów!

— Nicsię się waćpan nie postarzał, — rzekł gość. — Widzę, że zęby czasu nie dadzą waćpanu rady.



Na siedzeniu pochyliła się ku niemu ciemna postać ojca.

— A tak, tak, — zgodził się skromnie poeta. Była to jego nadzieja i pewność ulubiona, którą w swem sercu pieścił. Teraz nadzwyczaj mile go pokrzepiło porównanie z rówieśnikiem tak osiwiłym.

— Wszyscy mi to mówią, czy uwierzysz waćpan? — pochwalił się z satysfakcją, która odkrywała, jak wiele zatrzymał dziecinnej łatwości cieszenia się. — Walenty, śniadanie! — krzyknął na chłopca. — Nie widzisz gościa, hultaju?

Pan Kleszewski oglądał go z uśmiechem. Dorozumiewał się przyjemności, którą sprawił swym widokiem pocie. Powiedział z lekką ironią:

— Ba, panie dobrodzieju, nie wszystkim dano jednakowo przejść przez ten padół płaczu. Jedni zabną głęboko w tę dolinę, a drudzy prześlizną się po wierzchu.

— Muzy strzegą swoich, — odrzekł gospodarz z zadowolonym uśmiechem. — A zresztą, kochany dobrodzieju, to życie stołeczne, te dyskusye, te nowiny, ta ustawiczna gorączka, w której żyjemy, te śmiałe idee — wszystko to... A jeszcze fawory naszych dam, konwersacje salonów — człowiek musi, mówię ci, musi jak szampańskie wino. Ot co, rzucić waćpan swoje dobra i przybywaj tu na mieszkanie. Odmłodniejesz, odżyjesz. He, he, panie

Józefie, a pamiętasz te dawne awanturki — co? Krew nie woda, panie dobrodzieju! Powiadam ci, sprowaźcie się tutaj. Bo to i obowiązki obywatelskie, i patryotyczne...

— Różnie się składa, — rzekł stary pan pobbazliwie.

— *Video meliora proboque, deteriora sequor* — co? — zawołał poeta. — Ja zawsze za tem idę, co za lepsze uznaję.

— Powiedzno mi waćpan, — spytał gość, — czy nie widzisz tu pana Kajetana Żelechowskiego?

Ruchliwa, pełna, nieco czerwona twarz gospodarza, cała rozlana w rodosny uśmiech, nagle zmieniła się, zapełniła pracą myślową.

— Żelechowskiego? — powtórzył. — Czekałno, panie Józefie, coś to mi o nim mówiono. Ale gdzie?

— Służy on tu w którymś biurze, — rzekł pan Kleszewski.

— Wiem już! — krzyknął nagle gospodarz z tryumfem, — pan Kochanowski mi mówił na wieczorze u pani Aleksandrowej Potockiej, Tyszkiewiczówny z domu. Widzisz, widzisz, jaką ja mam pamięć.

— Cóż to było?

— Wyjechał do Płocka. Ma on niezłą posadę w dyrekcyi żywności u Wielhorskiego. Jest podinspektorem w biurze dyrektora naczelnego, z pensją pięciu tysięcy złotych polskich rocznie.

— Wyjechał? — spytał z zawodem w głosie pan Kleszewski. — Na długo?

— Nie wiem, ale się dowiem, — odrzekł gospodarz z gotowością. — Chcesz go waćpan widzieć?

— Właśnie.

— Za kilka dni wróci, — rzekł poeta z przekonaniem, którego nagle nabrał, zapewne dla wygody gościa. — Walenty! — huknął, — dawaj mi frak, buty!

Przeprosiwszy gościa, poszedł się ubierać, aby zaraz wyjść z nim i zasięgnąć informacji o powrocie Kajetana Żelechowskiego.

Po małej godzinie wyszli obaj na miasto. Deszczuk zupełnie ustał, ale dzień był chmurny, ospały.

— Pójdźmy do traktierni, — zaproponował poeta. — Pora na obiad. Spotkamy tam kilku słusznych bardzo ludzi, patryotów.

Ponieważ pora była odpowiednia, pan Kleszewski nie widział nic stosowniejszego do zrobienia. Było przytem zimno i błoto. Spojrzał na starego żyda, który znów za nim ruszył.

— Wiesz co, panie Dyonizy, — rzekł, — nie znasz waćpan jakiego towarzysza pana Żelechowskiego? Mam tu faktora pod ręką, którego możnaby posłać z pytaniem.

Żyd, zmiarkowawszy, że o nim mowa, przysunął się.

— Wybornieś to waćpan obmyślił! — ucieszył się poeta. — Zaraz w traktierni napiszę słówko i poczekamy na odpowiedź. O tem samem myślałem.

Zasiedli w długiej, sklepionej izbie, przy stole tuż pod oknem, a mimo to w mroku. Okno wychodziło na jakieś szare mury podwórzowe. Zastali już paru codziennych towarzyszy poety.

Po powitaniach, poeta zażądał papieru, piór i atramentu, i zasiadłszy na stronie, w głębokiem skupieniu zaczął kreślić swój list. Odrzuciwszy kilka napoczętych arkusików i kilka piór źle zatemperowanych, ukończył wreszcie swą pracę. Pan Kleszewski wyprawił z nią faktora, i natychmiast zasiedli do stołu.

Omówiwszy nowiny polityczne, które obracały się około wizyty księcia Józefa w Paryżu, słów Napoleona do ambasadora rosyjskiego, i ruchu wojsk rosyjskich nad granicą litewską, wszyscy zwrócili się do spraw miejscowych.

(Ciąg dalszy nastąpi).